

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (14)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Krzysztof Gąsiorowski

Krzysztof był, ale i wciąż jest dla mnie poetą i człowiekiem szczególnym. Nie tylko dlatego, że to wybitny polski twórca. Ale – subiektywnie – dlatego, że w istotny dla mnie sposób oceniał moją poezję, że dobrowolnie, nawet bez odrobiny sugestii z mojej strony, zechciał się nad nią niekiedy pochylić.

W latach 2000. drukowałem samizdat „Komunikaty 2”, czyli – „K2”, i rozsyłałem, jako komputerowy list otwarty do przyjaciół. W jednym z numerów zamieściłem parę swoich wierszyków. Nagle dostaję maila od Gąsiorowskiego. Brzmi tak: „Geniu, otrzymałem nowe K2. Zapewne wiesz, że jest to najtrudniejsza i najbardziej niebezpieczna góra w Himalajach. Dziękuję. Dzięki Twojemu piśmie czuję się mniej bezradny i osamotniony w »tym kraju«. To dobry numer, świetne szkice i wiersze (zwłaszcza ten Twój: »Polska nie jest przyjemnością«, to wiersz zgoła kanoniczny)”. I dalej inne ciepłe słowa. To czytanie się w moje utwory powtarzało się. Taka scena. Za chwilę zaczyna się w Warszawie, w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu, kolejny Zjazd Związku Literatów Polskich. Właśnie dobiłem z dworca do naszego związkowego gmachu, wpisałem się na listę obecności, pobrałem mandat i gnam na salę, gdzie – jak to było już wcześniej ustalone – mam pełnić „odwieczną” funkcję tzw. asesora, czyli pomocnika prowadzącego Zjazd. Tymczasem Gąsiorowski łapie mnie na korytarzu, sadza na krzesło, siada obok i spokojnie zaczyna wykladać, że właśnie jest po lekturze moich wierszy, tomiku, i ma takie a takie uwagi. Mówi, patrząc na mnie i nie bacząc na moje nerwowe gesty. – Ten wiersz o Polsce, to jest kanoniczny wiersz, stary, naprawdę – mówi... Ciarki mi chodzą po plecach. Takie stwierdzenie w ustach wybitnego twórcy!

Inna sytuacja. Było to wcześniej, na początku lat 80. Rzadko startowałem w konkursach literackich, gdyż szybko zauważyłem, iż nie załapuję się na żadne nagrody i wyróżnienia. Pewnie nic ważnego w swych propozycjach nie przedstawiałem i jurorzy mnie odrzucali. Lecz wtedy wyjątkowo miałem szczęście. Może dlatego, że w jury był Gąsiorowski? A może tylko on jeden mnie zauważył? Odbył się konkurs Czerwonej Róży, od lat ogłaszany w Gdańsku. Dziś najstarszy konkurs literacki w kraju. Liczący sobie grubo ponad pół wieku. Wtedy miał ledwie ćwierć wieku. Do stałem w nim nagrodę, a może wyróżnienie – nie pamiętam. Laureaci wychodzili na scenę klubu studenckiego „Żak” (wtedy awaryjnie mieścił się na Długim Targu) i czytali nagrodzone utwory, które publiczność nagradzała zdawkowymi brawkami. Gdy przysłała moja kolej, również odczytałem utwór i wróciłem na miejsce. Cisza. Żadnej reakcji sali. I wtedy wstał Gąsiorowski (może mu się przykro zrobiło, że ludzie tak na mnie zareagowali) i powiedział te słowa: – Państwo tego nie widzą, ale pod tymi sześcioma wersami jest jeszcze biała karta. I ona też „pracuje” na ten wiersz. To było wystąpienie poniekąd w obronie werdyktu jury, choć pośrednio i mojej. Zapamiętałem to zdarzenie, bo – co tu kryć – nikt nigdy publicznie nie bronił mojej poezji. Ani w ten, ani w żaden inny sposób.

Jedno z największych zaskoczeń literackich (ale i publicystycznych) w życiu. Wczesne lata 80., Suwałki. Idę pewnego dnia przez miasto. W kiosku „Ruchu”, który akurat się natopczył na drodze do domu (hotelu, tak naprawdę), odruchowo, jak co miesiąc, kupuję miesięcznik „Poezja”. Czekając na resztę pieniędzy, przeglądam zawartość. I nagle... nie wierzę... – numer otwiera mój szkic „Obecność obok” (przed chwilą odszukałem w archiwum ów numer czasopisma, żeby sprawdzić tytuł). Za tą publikacją oczywiście stał Krzysztof, jako zastępca naczelnego „Poezji”, ale też jako inicjator wydania numeru pod hasłem „Ci, którym się udaje”. Wiem, że znalazłem się w numerze, bo pasowało do tematu. Ale ja, prowincjonalny poeta i publicysta, otwieram wydanie renomowanego periodyku?! Pochlebiam sobie, że w tym numerze znalazło się wiele znakomitych ówczesnie nazwisk, jak i dziś uznanych twórców: Kazimierz Brakoniecki, Piotr Cieleś, nieżyjący już Jan Krzysztof Adamkiewicz, Andrzej Kaliszewski, Jan Sochoń (obecnie kapłan katolicki), Jan Tulik, Tadeusz Wyrwa-Krzyżński, Zbigniew Fronczek, Stanisław Esden-Tempski, Aldona Borowicz...

Z Krzysztofem poznaliśmy się zapewne na imprezach lesznowskich w latach 70., gdy jeszcze byłem studentem. Znałem Gąsiorowskiego także, jak i całą Orientację Poetycką „Hybrydy”, z czasopisma „Orientacja”, z wielu tomików i publikacji. Ale zaprzyjaźnianie się z Gąsiorem nastąpiło później, gdy po studiach wyjechałem na północny wschód Polski. Tu parę słów celem przygotowania gruntu. Pracując w suwalskich „Krajobrazach”, w których odpowiadałem za kulturę, a samozwańczo także za literaturę, musiałem się oczywiście „wplątać” w organizację Oleckiego Czerwca

Poetyckiego. W nowym (od 1975 roku) województwie suwalskim była to najważniejsza impreza literacka. Zaproponowałem organizatorom Oleckiego Czerwca, że zaproszę na zajęcia seminaryjne Krzysztofa (później ściągnąłem też A. Waśkiewicza). I tak oto Gąsiorowski zjawił się w Olecku. Chyba przyjeżdżał tam niejednym raz. Mało tego, wówczas poznał dziewczynę, która była (z ramienia spółdzielni mieszkaniowej?) odpowiedzialna organizacyjnie za jakąś część Czerwca Poetyckiego. Dość szybko została jego kolejną żoną, zamieszkała z nim w Warszawie. Ale, z tego co wiem, nie ułożyło im się potem życie. Pamiętam ze spotkań oleckich czytanie wierszy przez Gąsiora i szczególnie aplauz słuchaczy dla utworu „Moja stara maszyna do pisania” (tytuł podaję z pamięci). W każdym razie Krzysztof wówczas, w trakcie tych trzech, czterech dni, imponował młodszemu uczestnikowi zdarzenia erudycją, wiedzą i wyczuciem literackim. Z boku delikatnie atakował go tylko białostocki krytyk Waldemar Smaszcz.

Minęło kilka lat i w 1986 roku znalazłem się w Białymstoku. Przybywając do miasta właściwie za żoną, która zatrudniła się w Białostockim Teatrze Lalek, od razu postawiłem sobie ambitne zadanie, że doprowadzę do utworzenia w mieście nad Białą oddziału Związku Literatów Polskich. Dla mnie było to kuriozum, że w niemal 300-tysięcznym mieście, gdzie mieszkało kilkoro członków ZLP, nie istniał oddział Związku. W tym czasie np. w dużo mniejszej Zielonej Górze oddział Związku świętował już 25-lecie. Ostatecznie zamysł udał się, a wielką pomocą w tym służył mi właśnie Gąsiorowski. Rządził wtedy jako prezes oddziałem stołecznym ZLP, a Białystok był zawsze poddany wpływom warszawskim. Przyjechał zatem Gąsior do Białegostoku wraz ze Zbyszekiem Irzykiem i wspólnie z kilkoma osobami z miejscowego środowiska przeprowadziliśmy naradę. – Zrobimy tak, w pierwszym założycie Klub Literacki ZLP, który będzie podlegał oddziałowi warszawskiemu. Gdy znajdzie się odpowiednia liczba pełnoprawnych członków ZLP, wtedy Zarząd Główny podejmie uchwałę o powołaniu samodzielnego oddziału – zaproponowali Gąsior i Irzyk. I tak zrobiliśmy. Dziś Białystok ma niemal, chyba 30-osobowy i około 30-letni własny oddział Związku.

Z Krzysztofem widywałem się i korespondowałem (e-mailowo) dość często, niemal do końca jego życia. Przysyłał swoje utwory, wypowiedzi, które drukowałem we wspomnianym samizdacie, dawał mi swoje tomiki nagrane na płycie, gdyż był jednym z tych poetów, którzy nie bali się nowych nośników.

Gąsiorowski odchodził z tego padołu w dramatyczny sposób. Z różnych relacji wiem, że z opieką nad nim nie było najlepiej – ale i nie najłatwiej, zwłaszcza dla najbliższej mu osoby, która formalnie nie była z nim w żaden sposób, poza emocjonalnym, związana.

cdn.

